Rok XXXVII Niedziela 22 czerwca 1930 Nr. 25

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 20 zł., — kwartalna 5 zł. Zagranicą 25 zł. Numer poj. 40 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Ormiańska 13. Tel 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755.
Rękopisów nie zwraca się.

Treść: „Vers la joie"! — Kazanie okolicznościowe — W sprawie Ligi Dobroci (dok.). — Czem była i jest kultura klasyczna (c. d.). — Dokoła soboru prawosławnego. — Unjatyzm X. C. Korolewskiego. — Fejleton: W katakumbach Aleksandrji i w Ziemi Św. — Sprawy religijne. — Z piśmiennictwa. — Wiadomości diecezjalne. — Komunikaty.

„Vers la joie!"

(„Ku radości").

Uwagi na marginesie „Naszego Oczka" i t. p. imprez w życiu młodzieży akademickiej.

Cóż bardziej aktualnego byćby mogło w dziedzinie, że tak powiem, rozrywkowej w życiu towarzyskiem, — zwłaszcza dla młodzieży, — jeśli się zważy wszystkie względy i warunki życiowe, cóż, powtarzam, bardziej na czasie byćby mogło, jak nie słuszne hasło szukania radości i wartości życia?

Radość — to słońce życia. Wszyscy to zdają się rozumieć i dlatego zrozumiałe samo przez się i wzniosłe są takie dewizy życiowe jak u Anglików, wzgl. w Ameryce powtarzana: *„keep smiling!"* (trzymaj się uśmiechnięty) lub jak francuskie: *„vers la joie!"* albo niemieckie: *„mehr Freude!"* czy wreszcie i u nas dziś rozbrzmiewające hasło i odzew: więcej radości!

Więcej radości! Istotnie, tyle zła i bezpotrzebnego smutku na świecie, zwłaszcza dzisiaj, kiedy „radości" rozmaite jakby fale i bałwany potopu, - świat zalewają, pozostawiając wszędzie chorobotwórczy i ciężki osad, - tyle bolesnych zgrzytów w duszach ludzkich, że trzebaby wprost nawoływać i uczyć ludzi... radości!...

Ale bo też radość jest różna: jest radość prawdziwa, która świadczy o pokoju duszy i szczęściu wewnętrznem, bez względu na zewnętrzne warunki; jest radość fałszywa, jako świadome zwodzenie ducha, lub błędna, jako nieświadome durzenie się kłamliwem szczęściem; jest radość rozumna; jest radość głupkowata lub głupia; jest radość święta; jest radość zdrożna...

Radość prawdziwa, rozumna i święta czyli poprostu właściwa i godna człowieka, jest nietylko zewszechmiar polecenia godną, ale konieczną cechą pełnego życia. — Im też wyżej człowiek stoi pod względem rozwoju duchowego, im jest doskonalszy, tem więcej posiadać winien radości. Owszem radość taka ma być nawet nieodłączną towarzyszką świętości, bo *„święty smutny — to smutny święty"*.

A któż i jaki wiek ma większe prawo do radości, jak nie młodość wogóle? — Lecz o to właśnie chodzi, że jest radość i radość...

Niestety, ludzie skłonniejsi są do gonienia za mydlanemi bańkami zwodniczych uciech i radości, niż do szukania radości prawdziwej, w ramach zdrowego rozumu i wskazań religijno-moralnych, która polega na wewnętrznej radości ducha i radosnem nastawieniu psychologicznem do życia — w ramach niewzruszonych zasad etycznych. Tak jest zazwyczaj i jest dziś coraz gorzej? „Chleba i igrzysk!" — w tem się zawiera wszystko, ten jest cel wszystkich poczynań i usiłowań spoganiałych dziś całych społeczeństw, zlaicyzowanego życia. I społeczeństwa chrześcijańskie — odchrześcijaniły się i duch subtelnej radości w nich zamarł. I społeczeństwo katolickie nie umie się radować w Chrystusie — w ramach Ewangelji. Dziś takie wezwania jak ono św. Pawła: *„Gaudete... et iterum dico vobis, gaudete...* — *...Et gaudium vestrum plenum sit... in Christo Deo"*... są dla wielu wprost dziwne i niezrozumiałe. Okoliczności i warunki radości dla społeczeństw dzisiejszych — to coś dalekiego, obcego, albo i przeciwnego tym, które obejmuje się ramami etyki chrześcijańskiej lub wogóle — etyki. Pod tym względem w umysłowości i psychice współczesnej istotnie neopoganizm poczynił spustoszenia, tak, że ostatecznie i samaż cywilizacja w dziedzinie tej doprowadza życie do absurdu: do zupełnego zdziczenia i rozpasania. Tego dowodem są np. tańce nowoczesne, wzięte od dzikich — i będące przeważnie naśladowaniem — w motywach — zwierząt; przykładem jest także muzyka *jazzbandowa* czy do tej podobna — tudzież i inne środki i objawy t. zw. radości życia, a także sztuki plastyczne — czy wreszcie beletrystyka w dużej mierze. Zupełny brak treści i sensu rozumnego — wszędzie święci triumfy...

Powyższe uwagi ogólne niech będą tłem i podstawą do szczegółowych kilku uwag na temat radości życia wśród młodzieży, a zwłaszcza młodzieży akademickiej, przyszłej inteligencji narodowej, — wśród młodzieży tej, która ma być skarbnicą narodowego ducha!...

Powiązanie takie może niejednego zdziwić —

aby zaś ci, którzyby się dziwić chcieli, mieli większy ku temu powód, — oto nawiązujemy do występów lwowskiego teatrzyku akademickiego t. zw. *„Naszego Oczka“*... „Nasze Oczko“, występujące pod protektoratem Wojewódzkiego Komitetu Pomocy Młodzieży Akademickiej, ma już pewną historję. Jest to, naturalnie, kabaret, że tak powiem, amatorski (bo tak jest), który działa sezonowo. W ubiegłym karnawale „Nasze Oczko“ dało kilkakrotnie rewję p. t. „Same hece“: sala „Sokoła-Macierzy“, mogąca lekko pomieścić tysiąc osób, za każdym razem podobno była nabita. W ostatnim zaś czasie (16—20 maja włącznie) w byłym Teatrze Nowości odegrało „Nasze Oczko“ wiosenną swoją rewję p. t. „Ładne kwiatki“ z większem jeszcze powodzeniem.

Lecz cóż tam właściwie było na rzeczy?

Otóż dla ilustracji weźmy pod uwagę niektóre z utworów wzmiankowanej rewji.

„Kwiatek“ pierwszy: „Ao! Znów cały Lwów“: „Trudno dziś samemi hecami żyć. Trzeba idealnym także być. Wiosna niesie kwiatki i majowy kram, „Oczko“ nową rewję niesie wam. Śmiech, złoto, Więc precz z cnotą! Brawo bis — krzycz dziś co tchu!“

Druga zwrotka o kurtyzanie i amantach stu, a refren ten sam.

Albo inny wierszyk:

„Ładne kwiatki No! No! Proszę tatki Ho! ho!.. W takim wianku — jak przy kochanku — tak do poranku — no — no! Tamto i to. Ładne kwiatki. No! no!“ i t. d.“

I jeszcze inny: „W siódmem niebie“: Scena między alfonsem i „wesołemi panienkami“.

„To moje siódme niebo Dziś smuci się tak: Anioła mu brak, O „baby“! (bejbe, po angielsku = dzidzi) Przyjdź dziś tu. W siódmem niebie Zaśpiewa nam ptak, Miłości da znak A rankiem słońce zbudzi nas z cudnego snu. Zrozumiesz, jak ci w siódmem niebie dobrze tu!“

W dalszym ciągu — duch i nastroje młodego pokolenia.

Dosyć tych cytatów. Inne są do tych podobne, z tą różnicą, że może więcej mają dwuznaczników, głupsze są, „tłuste“ i więcej „działające“... Rzeczywiście: „ładne kwiatki“...

Ale trudno... wszak to kabaret. Zważmy też, że „wiersze“ przytoczone i wogóle wszystkie w repertuarze rewji będące jeszcze mało znaczą; do pełni znaczenia doprowadza je wygłoszenie czyli śpiew, mimika, gestykulacja i wogóle cała akcja. Tego rodzaju poezje mogą być całkiem bez sensu i najgłupsze... ale utwory „Naszego Oczka“ niestety są kiepskiem naśladowaniem „Pocięgla“ — „Kabaretu“ lub „Wolnej Myśli — Wolnych Żartów“ — i godne są może tych chłopców, co kolportują „Pocięgla“ po ulicach i po parku, wołając: „Same hece — za pięć groszy!“ — „Wanda-granda — cała banda!“...

Lecz to są przecież występy młodzieży akademickiej.

Młodzież akademicka musi być nietylko wesoła (choć i na to niezawsze ją stać), — ona musi być także poważna i musi umieć dbać o swoją godność... Nie wolno jej temi walorami kupczyć i nie wolno ich na szwank narażać. — Czego od młodzieży akademickiej w danym wypadku spodziewać się wolno i trzeba — i co o tego rodzaju „rewjach“ (jak wspomniana) sądzić należy? — Trudno tu o tem rozprawiać: poczucie godności i honoru, dobry smak i estetyka duchowa niech odpowie, komu należy.

A jak prasa miejscowa przyjęła występy „Naszego Oczka“? Trudno nam tu przytaczać jej głosy, choćby w skróceniu. „Lwow. Kurjer Poranny“, a raczej jego recenzent p. B. hurtem

W katakumbach Aleksandrji i w Ziemi Świętej.

(Ciąg dalszy.)

Grek mi wyjaśnia, że jest to wyspa Lesbos, słynąca w starożytności z niechlubnej sławy swych niewiast. Liczy ona obecnie 147.000 mieszkańców i jest największą wyspą z pośród archipelagu wysp na morzu Egejskiem — zajmuje bowiem obszar 1.750 km^2 Stolicą jej jest miasto Mitilini, liczące 57.000 mieszkańców. Ludność lesbijska utrzymuje się przeważnie z hodowli oliwek, fig, oraz uprawy wina.

Nad nami unoszą się gromadnie mewy — woddali zaś widzimy dwie łodzie, powoli posuwające się za okrętem od strony wyspy. I rzecz charakterystyczna — w łodziach tych widzimy po cztery niewiasty, zapewne rybaczki, tylko w strojach nawpół adamowych — bo zaledwie z przepaskami na biodrach, za całe zaś okrycie zwierzchnie służyły im ich długie włosy rozplecione na ramionach. Same wiosłowały — gdyż nie zauważyliśmy wśród nich ani jednego mężczyzny — i ciągle zanosiły się śmiechem, którego dźwięczące echo obijało się nieustannie o nasz okręt.

Obrazek ten podsunął mi domysł, że jednak i pokolenie obecne niewiast wyspy Lesbos niedaleko odbiegło od swoich prababek starożytnych, które się tak niechlubnie wsławiły.

Zresztą dowiaduję się od Greka, że wyspa Lesbos cieszy się klimatem jakby rajskim, bo w okresie zimowym niema tu mrozów a w lecie zbytnich upałów.

Mijamy jeszcze kilka malutkich wysepek o gołych skałach i znowu zaskakuje nas noc na morzu. Udajemy się dość wcześnie na spoczynek, gdyż, jak nas informują, będziemy nazajutrz już około 6-tej rano w Smyrnie — trzeba więc odpocząć i nabrać sił do długiego chodzenia po ziemi azjatyckiej.

Morze dotychczas jest bardzo spokojne — więc niema obawy, aby nas miało w nocy niepokoić. Rozbieramy się i w kilka chwil później śpimy już „snem sprawiedliwych“ — kołysani miarowo uderzeniami fal o ściany okrętu. Rano już słońce było dosyć wysoko kiedy zbudziliśmy się na odgłos dzwonka pod naszemi drzwiami, wzywający nas na śniadanie. Po doprowadzeniu toalety do porządku, szybko wychodzimy na pokład i widzimy, że właśnie „nasza Roma“ wjeżdża do lejowatej zatoki Smyrneńskiej, której strome i wysokie brzegi nadają charakter fiordu norweskiego. Zatoka sama, kształtem przypomina rakietę tennisową, w której środku rozsiadła się Smyrna, zdetronizowana królowa Lewanty. Wokoło niej wznoszą się koncentrycznie coraz to wyższe łańcuchy górskie, których najwyższe i naj-

pochwalił „Ładne kwiatki". — Nic w tem dziwnego; tenże recenzent swego czasu z zachwytem napisał o odczycie p. Kadena-Bandrowskiego „Walka o nową kobietę". „Wiek Nowy" w zapędzie chwalby poszedł aż tak daleko, że widzi w „Naszem Oczku" (w przyszłości) pierwszorzędny zespół kabareciarski — a przynajmniej „Qui pro Quo"... Jedynie konferensjera obie recenzje zganiły, ale nie za tłuste dowcipy, tylko za to, że korzystał z pomocy suflera. — „Głos Narodu" w korespondencji lwowskiej pochwalił, co było do pochwalenia, a zganił wszystko, co było naganne. — Ciekawa rzecz, jednak, że najostrzej skrytykowane zostało „Nasze Oczko" w dodatkach akademickich.

Ale poco my to piszemy? Czy nie jest to, jak mówi Anglik *„much ado about nothing"* — wiele hałasu o nic? Poco właśnie piszemy o tem w „Gaz. Kościelnej"?

Istotnie, śmiesznem i niewłaściwem byłoby, gdybyśmy na tem miejscu pisali recenzję akademickiego kabaretu. — Ale nie o recenzję dziennikarską tu chodzi (to rzecz dzienników), lecz o *prestige* inteligencji narodowej, tudzież i głównie, o poszanowanie etyki publicznej. A ponieważ, jak to „dowcipnie" zaznaczył konferensjer zespołu, te „Ładne kwiatki" nie są „ostatniem świństwem" i jeszcze wiele podobnych czy lepszych autor wzgl. autorowie ich napiszą, — przeto zwracamy na to uwagę zarówno samej młodzieży jak i starszego społeczeństwa, — a „Gaz. Kościelna" ma chyba prawo stać na straży przyzwoitości i kultury. Nie sądzimy, żeby ostatni program „Naszego Oczka" był „ostatniem" czemś-tam, owszem, poprzedni, podobno, był dużo „swywolniejszy" (wyrażamy się oględnie). Wiemy też, że kabarety „starych wyjadaczy" są o wiele więcej nieprzyzwoite, ale czyż to racja, dla której i akademickie mają folgować sobie w tym kierunku? Chyba nie!...

Ale w takim razie może lepiejby było, gdyby wcale nie wymyślano kabaretów? — Niekoniecznie; bo możliwy jest „kabaret", wzgl. rewja bez głupich dowcipów, obrażających przyzwoitość i wogóle bez „kawałków" rozpustnych i wyuzdania! I mogą one ponoć być nie mniej (a nawet więcej) zabawne (jak np. rewja „Bez mężczyzn" grana w karnawale przez panie z P. W.). Nawet „Nasze Oczko" mogło się o tem przekonać, że np. dowcipy jego polityczne były z większem uznaniem przyjęte i oklaskami huczniejszemi nagrodzone. Zdrowy humor dużo znaczy i jest zdrowy. — Wiemy, że w imprezach „Naszego Oczka" (może najwięcej?) chodzi o pieniądze..., ale trudno przecież trzymać się zasady, że *pecunia non olet...*

A opinja publiczności, która na rewjach bywała? — A owe oklaski — nic nie znaczą? — Owszem, owszem; ale najpierw opinja w ogólności jest raczej wyrozumiała niż pochlebna. Stwierdzamy to na pewnych podstawach. A potem sugestywne oklaski i oznaki uznania, że tak powiem, *„in flangranti"*, t. j. w czasie przedstawień mają wartość aprobacyjną (w takiej materji) problematyczną. Lepiej na tem nie polegać i nie szastać się — oto rada. Pewnie, że wielu takie rzeczy się podobają, — i to wielu nawet katolikom niby dobrym, lecz to tylko świadczy o stępieniu moralnem i *„moral insanity"*, na jaką cierpią dziś społeczeństwa. O gustach tedy takich dużoby się powiedzieć dało. A wszak większość bodaj publiczności, uczęszczającej na „Nasze Oczko", to młodzież rozmaita. Można było widzieć,

---

dalsze szczyty rozpływają się w sinozłotej mgle porannej. Jako całość okolica Smyrny przedstawia się niezwykle malowniczo. Gdy ją oglądałem zdaleka, przypomniał mi się zaraz idealny pejzaż neapolitański, z którym Smyrna ma wiele wspólnego — a nawet pod pewnemi względami — powiedziałbym — przewyższa go. Lecz tylko z oddali, póki wszystkie budynki Smyrny zlewają się w jedną wielką złotawą plamę, mieniącą się w blaskach wschodzącego słońca. W miarę bowiem zbliżania się okrętu, coraz wyraźniej występują szczegóły okrutnej klęski, która dotknęła Smyrnę w r. 1922 w czasie wojny grecko-tureckiej o Azję Mniejszą. I tak cała najpiękniejsza i najbogatsza dzielnica francuska, zamieszkała przeważnie przez Greków, uległa w tym czasie całkowitej zagładzie przez straszny pożar, który wybuchł w chwili opuszczania Smyrny przez oddziały wojsk greckich. Mój socjusz, który brał osobiście udział w tej wojnie, twierdził, że był naocznym świadkiem, jak po wycofaniu się ze Smyrny oddziałów armji greckiej na okręty, Turcy, mszcząc się na pozostałej ludności greckiej za okazaną pomoc swoim rodakom, wycięli w pień przeszło 3000 chrześcijan-Greków, oraz wzniecili pożar w ich dzielnicy, który szalał blisko tydzień, obracając w perzynę najpiękniejszą część miasta.

Na wspomnienie tych wszystkich okrucieństw, popełnionych przez Turków na jego rodakach w Smyrnie, — Grek kurczowo zaciskał pięści i odgrażał się niemi, mówiąc — że przyjdzie jeszcze kiedyś godzina porachunku, w której niszczyciele Konstantynopola i Smyrny słuszną poniosą zapłatę... Ostatecznym jednak ciosem zabójczym dla Smyrny — była dokonana nieco później znana już nam wymiana ludności — największa, jaką zna historja, — na podstawie której wszyscy Grecy musieli opuścić Azję Mniejszą, wszyscy zaś Turcy terytorja greckie. Dzisiaj Smyrna, jest cichem, zamarłem miastem, żyjącem życiem głuchej prowincji — i wcale nie przypomina tego złotego okresu w swej historji, kiedy to była najważniejszem miastem handlowem Jonji. Jeszcze przed siedmiu laty — powiada mi Grek — Smyrna licząc przeszło 100.000 mieszkańców, była ważnym portem wywozowym fig, rodzynków, bawełny, tytoniu, a nadto słynęła z wyrobu dywanów, co i do dzisiaj tradycyjnie związało się z jej nazwą; zatoka jej w tym czasie roiła się wprost od okrętów przybywających ze wszystkich stron świata całego. Praca w porcie, nie ustająca nawet w nocy, wrzała i kipiała na nadbrzeżnych bulwarach, tysiączne zaś rzesze ludzi pochłoniętych gorączkową pracą snuło się po całem mieście. Dzisiaj niestety z tego gorączkowego i bujnego życia handlowego śladu prawie nie zostało — zapanował tu wszechwładnie ten wschodni fatalizm: „Nie spieszyć się"; — o odbudowie zniszczonej przez pożar części miasta ani słychu niema, bo toby prawdopodobnie sprzeciwiło się

jak najgorsze „kawałki" oklaskiwali młodzieńcy, którym się wąsy dopiero wykłuwają i młode panienki... Objaw niezbyt wesoły!... .

Resumując swoje uwagi, powiadamy krótko: więcej radości prawdziwej i zdrowej, inteligencjo młoda! Szukaj jej poza stęchlizną epikureizmu i hedonizmu (choćby duchowego, mentalnego), szukaj jej na wyżynach ludzkiej godności i kultury duchowej! Tam i szczęście znajdziesz!.., — *„Gaudeamus igitur iuvenes dum sumus: post iucundam iuventutem, post molestam senectutem nos habebit humus"* — to jest prawdą i nieprawdą zarazem... Weź prawdę i wykryj nieprawdę — i zmień swój hymn, niekoniecznie w słowach tej pieśni, ale w praktyce wogóle!... To zresztą może dotyczyć wszystkich. Ale adres do młodzieży. *Aleksander Buczko.*

Kazanie okolicznościowe

na nabożeństwie w 39 rocznicę „Rerum novarum".

„Widziałem niebo nowe, i ziemię nową". Ks. Obj. 21.

W dziwnem poruszeniu i napięciu mijały dni miesiąca lipca 1903 r. Cały świat, jakby zapomniał o codziennych sprawach, wypadki dnia jakby nie miały znaczenia — myśli, uczucia miljonów skierowały się w stronę Wiecznego Miasta — władcy, książęta rządzący, lud cały stały myślą przy łożu jednego człowieka. Chyba w historji nie było takiego wydarzenia. Umierał w pałacu Babilonu zdobywca świata Aleksander Wielki, ale przy łożu swego pana stali pogrążeni w żałobie tylko wodzowie i pułki macedońskie Argyraspidów — obżałowali Cezara tylko najbliżsi — niepostrzeżenie przeszła wieść o zgonie boga wojny — Napoleona. Tu w rzeczy samej cały świat był zainteresowany.

Byłem młody wówczas i pamiętam, jakie wrażenie wywierały codzienne biuletyny z Watykanu o przebiegu choroby papieża Leona XIII. Świat tak *zżył* się z postacią białego starca na stolicy Piotrowej, iż nie chciał dawać wiary, by mogła zgasnąć światłość, która długich 26 lat przyświecała światu. A gdy telegram rozniósł żałobną wiadomość: — „Niemasz między żyjącymi Leona" — smutek powiał w sercach, jęknęli boleśnie wszyscy, a szczególniej lud pracujący.

Został testament Leona, zawarty w jego pismach. I będą wracali uczeni i prostaczkowie do pism Leonowych, całe bibljoteki komentarzy narosną i będzie Leon wysławiany i błogosławiony po wsze czasy. Do grobu na Lateranie będą szły tysiące a w rocznicę głównego pisma katolicki świat pracowniczy manifestować będzie. Spełni się, iż „umarły silniej do żyjących przemawiać będzie".

I oto w 39 rocznicę pisma Leona XIII w sprawie społecznej zgromadziły się organizacje chrześcijańsko-społeczne. Przyszliśmy tutaj, wszyscy jesteśmy, nikogo nie braknie, kto czci Leona. Przynieśliśmy sztandary i z rozwiniętemi znakami defilujemy ulicami miasta. Ale rzecz główna: przynieśliśmy serca katolickie, myśli i uczucia chrześcijańsko-społeczne. Święto dzisiejsze przemawia potężnie i pociąga miljony — jest bowiem zapowiedzią czegoś, co ma przyjść, co ma się spełnić. Idziemy w przyszłość nową — zda się, spełnią się słowa z Księgi Objawień św. Jana: „Widziałem niebo nowe i ziemię nową". Bowiem rzeczywiście budujemy na programie Leona nową

---

tej muzułmańskiej zasadzie (z którą później tak często spotykałem się na Wschodzie, w Egipcie, Palestynie i Syrji): „Nie wolno przeciwdziałać woli Allacha tak w dobrem, jak w złem!" Allach widocznie postanowił ukarać Smyrnę pożarem, więc nie wolno mu w tem sprzeciwiać się przez odbudowanie miasta... Dziwna psychologja i jeszcze dziwniejsza logika Wschodu — zupełnie zresztą niezrozumiała dla Europejczyka.

Po tych krótkich refleksjach i uwagach praktycznych mojego socjusza — okręt zawinął do portu, zatrzymując się nieco dalej od lądu na kotwicy. Była godzina siódma rano. Zaczynamy więc krzątać się, żeby otrzymać pozwolenie na wylądowanie. Lecz tutaj nagle napotykamy na nieprzewidziane trudności. Oto nowoprzybyły komendant „karakonów" smyrneńskich okazał się nieco lepszym patrjotą od swojego kolegi w Stambule. Jak tylko dowiedział się, iż mój socjusz jest obywatelem greckim, ani słyszeć nie chciał o pozwoleniu mu na wylądowanie w Smyrnie.

Nie pomógł już tutaj nawet największy „bakczysz", zaofiarowany mu przez Greka, — „karakon" był nieustępliwy, jakby intuicyjnie odgadywał, że ma przed sobą jednego z byłych uczestników boju o Smyrnę, który walczył o nią aż do upadłego. Co do mnie, to stwierdziwszy z paszportu moje obywatelstwo polskie, chociaż nie miałem wymaganej wizy tureckiej, zgodził się na zwiedzenie przeze mnie Smyrny, głównie na podstawie upoważnienia, jakie miałem w tłumaczeniu francuskiem do zwiedzania szkół i zakładów dla głuchoniemych zagranicą. Okazał się przytem do tego stopnia dżentelmenem, że nawet nie chciał przyjąć zaofiarowanego mu przeze mnie „bakczyszu": czynem tym zadziwił ogromnie nawet samego Greka... Przestrzegł mnie tylko, że przed godziną pierwszą po południu muszę już być zpowrotem na okręcie.

Zabrawszy ze sobą tylko aparat fotograficzny, wybrałem się z konieczności sam na zwiedzanie miasta, na co zostało mi zaledwie pięć godzin czasu. Zaledwie przeprawiłem się łódką z okrętu na brzeg i stanąłem na twardym lądzie, uderzył mię widok właśnie nadjeżdżającego „tramwaju" smyrneńskiego, niemożliwie odrapanego, a ciągnionego przez starą dychawiczną melancholijną szkapę. Aż przystanąłem z zadziwienia — jako że po raz pierwszy w życiu widziałem tramwaj konny (we Lwowie bowiem skończyły swój żywot przed blisko 30 laty, kiedy jeszcze byłem dzieckiem).

(C. d. n.) *X. Wł. Sz.*

ziemię i nową na ziemi ludzkość, — z chaosu i anarchji nieuporządkowanych stosunków społecznych, z któremi zżyć ani pogodzić się nie możemy, wyłania się nowy porządek, oparty na sprawiedliwości i miłości.

Tym, który przygotował nowy ruch i dał mu mocne podstawy, był papież Leon XIII. Urodzony w Carpinetto w r. 1810, jako Joachim Pecci, wyświęcony na kapłana w r. 1837, działa, jako legat i nuncjusz w Brukseli, gdzie patrzy na tamtejsze stosunki społeczne, kieruje mądrze diecezją, jako arcybiskup Perugji od 1845 r. i jako kardynał od r. 1853 — wreszcie z woli Opatrzności w r. 1878 po Piusie IX, wstępuje na Stolicę Apostolską, by stanąć na czele Kościoła. Byli wielcy w Kościele papieże — chlubi się Kościół, że miał Grzegorzów, Inocentych, a powiem, że nie było większego nad Leona. Łączył on przedziwnie głęboką pobożność i wiarę prostą z wielką inteligencją i wiedzą, posiadał mądrość prawdziwie Bożą, świadomość celu, wytrwałość w działaniu, a do tego łatwość pociągania i ujmowania wszystkich.

Można nazwać Leona jednym z nowoczesnych Ojców Kościoła — bo przecież pisma, encykliki Leona to cała teologja, gdzie przedziwnie zasada niezmienna, dogmat wyłożona jest podług starych prawideł, a zarazem podany sposób rozwiązania nowych zagadnień, bez naruszenia dogmatu. Listy Leona, to cała mądrość. Już w pierwszym, po objęciu rządów, maluje obraz Kościoła, jako podpory i strażnika porządku naturalnego, jako matki wszystkich i ogniska kultury i cywilizacji; — Kościół ten jest w posiadaniu najsilniejszych i najskuteczniejszych środków uzdrowienia zła dzisiejszego: kto walczy z Kościołem, walczy z najcenniejszem dobrem ludzkości, kto pragnie dobra i postępu ludzkości, będzie współdziałał z Kościołem i z nim się sprzymierzy.

Oto myśli, które następnie w tylu, bo kilkudziesięciu listach powtarzał i rozwijał Leon XIII. Wywierały one wpływ potężny, bo któż mógł oprzeć się głosowi starca z Watykanu? Zjeżdżali też do Rzymu corocznie liczni pielgrzymi z całego świata, składali hołd Leonowi, — byli między tymi królowie i książęta, a wszyscy stali pod urokiem papieża. A Leon umiał z jednej strony, wsparty o niewzruszone zasady chrześcijańskiego światopoglądu, budować Królestwo Boże w duszach, z drugiej — jak żaden inny, rozumiał potrzebę czasów nowych i wnikał w rzeczywistość. Toż Leon XIII dał radę katolikom francuskim: „Pogódźcie się z ustrojem republikańskim i bierzcie udział zgodny i zwarty w życiu publicznem i tak brońcie na arenie publicznej nieprzedawnionych praw Kościoła!“ Gdybyż to byli zgodnie posłuchali katolicy francuscy tego wskazania i rady, którą ujęto w formę znaną i popularną, jako hasło Leonowe: „Wyjdźcie z zakrystji, a wejdźcie między lud!“

(Dok. nast.) *X. Ludwik Kasprzyk.*

W sprawie Ligi Dobroci.

(Dokończenie).

Miłość i dobroć na takiem podłożu wyrosła i z takich pobudek praktykowana, — to tylko błysk chwilowy, który wkrótce minie i na którym prędzej czy później poznają się nawet prostaczkowie. I ten chłopak, który przystał do sekty i pod jej wpływem stał się niby lepszy, — to tylko nazewnątrz; pozostaje cały świat ducha: owe myśli pychy, nieczystości czy wykorzenili z niego, czy on nie patrzy teraz z góry na katolików, nie kieruje się nienawiścią do nich; a jeśli tak nie jest, zawsze zostaną tam tylko motywy naturalne. (Jeśli niektórzy protestanci w dobrej wierze zostający praktykują cnoty nadprzyrodzone, to tylko dzięki środkom uświęcenia pozostałym z katolicyzmu i łasce miłosiernego Boga, który chce zbawić wszystkich). Taki zaś motyw jest zbyt słaby: obudzi chwilowo uczucia dobroci u dziecka, powstrzyma człowieka od złego, utrzyma w dobrem, gdy słaba namiętność, gdy okazja do kradzieży małej tylko sumy, lecz gdy przyjdzie silna żądza, okazja do kradzieży tysięcy, — wówczas nie wystarcza: zniknie uczucie dobroci pod wpływem silniejszego, a z niem i miłość bliźniego. I „Liga Dobroci“ nie wyda owoców trwałych w życiu, nie zapobiegnie „okrutnym czynom kolektywnym“, nie ugruntuje „prawdziwego pojęcia człowieczeństwa“.

Nie mając nadprzyrodzonej miłości Boga i człowieka, wysuwa protestantyzm na pierwszy plan miłość bliźniego, t. j. dobroć naturalną czysto. Jest to laicyzacja miłości chrześcijańskiej, degradacja z tego piedestału wysokiego, jaki posiada w katolicyzmie. A już kategorycznie trzeba zaoponować przeciw rozciąganiu miłości Boga i bliźniego na zwierzęta nierozumne (statut „Bractwa Chrystusowej Dobroci“ w Miesięczniku Katechetycznym). Ani w przykazaniu miłości, ani w definicji katechizmowej niema mowy o tego samego rodzaju miłości zwierząt. To są pojęcia niejednoznaczne, mieszać ich nie trzeba po protestancku!

Na takich „Ligach Dobroci“ czy innych, jeszcze o ponętniejszych szyldach organizacjach, katolicy wzorować się nie potrzebują i nie chcą. Nasza katolicka dobroć — czyli raczej miłość bliźniego — jak to widzieliśmy na początku — ma stokroć głębsze źródło i silniejsze motywy: Miłość Boga nieskończonego opartą na rozumnem przekonaniu o potrzebie i obowiązku tejże, — popartą, — ze względu na słabą naturę ludzką — sankcją nagrody lub kary. Dla katolików ona jest „największą mocą na ziemi“ i bodźcem do świadczenia dobroci bliźnim, ona rodzi prawdziwy pokój i obowiązuje wszystkich pod grozą utraty szczęścia a nie same tylko „sekcje“. Zastosowana w życiu obejmuje najwyższą zasadę moralną „unikaj złego, czyń dobrze“, do której sprowadzają się wszystkie przykazania. Ponieważ zaś obejmuje całokształt życia we wszystkich jego przejawach, z konieczności musi się to ogólne przykazanie miłości spartykularyzować i wyrazić w „całym lesie przepisów, zakazów, schematów, podziałów definicyj“, — ale lesie u p o r z ą d k o w a n y m. Zresztą — może i przepisy i definicje zawarte w statucie „Ligi Dobroci“ — również przesłonią Osobę Jezusa i Jego miłość?! — My nie podzielamy tej troskliwości protestantów dbających o czystość ewangelji. „Las przepisów, zakazów“ i t. d. zawartych prócz Pisma św. także w Tradycji, — zupełnie nie przesłania „pełnej Osoby Chrystusa, Jego miłości i dobroci“, ale

właśnie przedstawia Go „w nimbie dobroci ewangelicznej“ i tradycyjnej, a zarazem pokazuje i ułatwia młodzieży, jak tę miłość i dobroć praktycznie realizować w życiu. W miarę, jak człowiek wzrasta w życiu duchownem, poznaje lepiej prawdy wiary, wchłania w siebie niejako wiele z tych przepisów, nabywa dobrych przyzwyczajeń — jego życie religijne staje również znacznie uproszczonem, nigdy jednak nie wolno mu przekroczyć jednego z tych najmniejszych przepisów. Cóż mówić o młodzieży, ile tam trzeba wysiłków, by ująć w karby przepisów tę naturę żywą a tak skłonną do złego! Czyż te przepisy mają zasłaniać Jezusową miłość jak wykrętne przepisy Talmudu? Tak powie każdy protestant. Przeciw temu katolikowi powiedzieć trzeba, zgodnie z prawdą, że one wprowadzają w życie tę miłość, i nie zachowywać ich znaczy gwałcić tę miłość. A jeżeli kogo „pogrzebały środki pobożności“, to znaczy że nie miał on dobrego kierownictwa i środki te uważał za cel.

Zatem — to nie wina środków, te dobrze użyte tylu ludzi doprowadziły do świętości. Z tych względów — mimo uznania dla nowych pomysłów, zapału i najlepszych tendencyj wspomnianych artykułów — zajmujemy rzeczowo przeciwne im stanowisko. Dlatego — by nie dopuszczać do zamieszania pojęć, pojęcia dobroci nie będziemy szukać u pedagogów protestanckich, którzy o tyle są wielkimi w swych dziełach, o ile czerpią ze źródeł wiedzy katolickiej, ale w tradycyjnych dziełach katolickich oraz encyklikach papieskich o tej materji traktujących: tam lepiej określono, co to jest miłość chrześcijańska i środki, jakiemi ją realizować w duchu tradycji katolickiej.

Zamiast „w szkołach osobne godziny poświęcać na naukę dobroci“, poświęcimy przy nauce katechizmu więcej godzin o miłości Boga i bliźniego. Wreszcie „ligom dobroci“ przeciwstawimy w szkołach nasze katolickie Krucjaty Eucharystyczne, Sodalicje Marjańskie, Stowarz. Misyjne Murzynek, Stowarzyszenia Anioła Stróża i inne podobne stowarzyszenia młodzieży, wyrosłe w duchu tradycji i wypróbowane na gruncie katolickim, a nie na niwie protestanckiej. To są nasze „ligi dobroci“ czyli raczej ligi miłości, które dają nie polor tylko zewnętrzny, ale i wyrobienie wewnętrzne, bo mają zapewnioną łaskę Bożą i pomoc tego, kogo czczą specjalnie. Jako dowód tego wyrobienia i odpowiednik na przytoczony fakt zmiany niby na lepsze w sekcie protestanckiej — można przytoczyć cały szereg podziękowań matek, których dzieci gruntownie się poprawiły, należąc do bractw wspomnianych. Takie ligi miłości są lekarstwem na czasy obecne — świadczą o tem kongresy eucharystyczne, szerzące się po całym świecie katolickim. W nich objawia się żywotność Kościoła, w nich duch czasu, wskazówka i ostrzeżenie dla szukających wzorów na obcym terenie. Gdzież lepiej niż w Krucjacie Eucharystycznej dozwala się dziatwie „dojść swobodnie do tego Mistrza miłości i dobroci, by się mogły zagrzać przy Jego boskiem sercu“, gdy częste pogadanki na zebraniach o tym Jezusie Euchar. częsta Komunja św.?! Zatem rzeczone organizacje — mające charakter więcej kościelny czy też świecki — są równie dobrą antytezą bezwyznaniowych „lig dobroci“, chociaż inaczej się nazywają. — Owszem — nazwa tych stowarzyszeń katolickich nie jest ogólnikową, mętną, jakąś „Ligą Dobroci“ bliżej nieokreślonej (pod którą podciąga się narówni miłość zwierząt!), ale nazwa odpowiada rzeczy i jasno określa cel stowarzyszenia: cześć i miłość dla Najśw. Sakramentu, N. P. Marji, Anioła Stróża, wspieranie misyj, wzajemna pomoc, wspieranie ubogich i t. p. Tę nazwę konkretną lepiej zrozumie dziecię, niż pojęcia abstrakcyjne dobroci. W ramach tych czy podobnych organizacyj katolickich damy młodzieży głębsze uświadomienie religijne, by zrozumiała, że doskonałość chrześcijańska polega na nadprzyrodzonej miłości Boga: dalej zaprawimy ją do tej miłości przez praktyki religijne i akty miłości bliźniego (pomoc wzajemna, ubogim, niewiernym — tak materjalna, jak moralna), a równocześnie umocnimy ją do walki ze złem — w imię tej samej miłości Bożej. W ten sposób ożywimy nasze stowarzyszenia środkami nadprzyrodzonemi bez pomocy i naśladowania „Ligi Dobroci“. To będzie wychowanie młodzieży „w miłości ewangelicznej“, ale i tradycyjnej zarazem: to — dobrze zrozumiana i na prawdzie oparta „dobroć ujmująca i jednająca wszystkich“, a przedewszystkiem samego P. Boga.

Catholicus traditionalis.

Czem była i jest kultura klasyczna?

(Ciąg dalszy.)

W ślady Remarque'a rzucili się różni frontowcy: u nas T. Kudliński („Smak świata“), J. Kossowski („Zielona kadra“), w Niemczech Renn („Der Krieg“ a jest już i jego „Der Nachkrieg“), Glaeser („Rocznik 1902“), a przedewszystkiem Erich Dwinger z książką „Armja za drutami kolczastemi“ (Die Armee hinter Stacheldraht), ukazującą bezmiar nędzy i upodlenia w obozie koncentracyjnym na Syberji oraz Henryka Lamma „Das Frontkampferbuch“ (1930), którą nazwano „Gorgo einer gewaltigen Zeit“, z amerykańskich pisarzy najbardziej czytany Ernest Hemingway, z angielskich Ryszard Aldington. Tematy wojenne są ostatnią modą sceniczną. Anglika Sheriffa „Kres wędrówki“ obiega sceny europejskie, teatry londyńskie zaopatruje Griffit w sztuki z opowieścią wojenną. Jest i wojenny front na wesoło w „Szwejku“ Jarosława Haśka a i na wszechwładnym dziś ekranie rozpanoszyła się wojna z najgłośniejszym tu obrazem „J'accuse“ sławionego poety ekranu Abla Gancea, w którym niezliczone pułki poległych formują się w gigantyczne litery wyrazu „J'accuse“, wstrząsający protest przeciw okrucieństwu wojny. Wszystkie te tematy wojenne, przechodzące już w stałą rubrykę: „Nachlese der Kriegsernte“ przy całej tragiczności dla rodu ludzkiego są w gruncie jego apologją. Nawet Cezara robi Bernard Shaw pacyfistą, choć historyczny Cezar uważał się za pacyfikatora w sensie rzymskim Cezar i Kleopatra).

W tę atmosferę dzisiejszą, przesyconą wołaniem serc za uczłowieczeniem się ludzi, akor-

dowo wchodzi starożytność i to w roli wprost misyjnej. Czynnik to jeden z niewielu wartości, nie zdewaluowanych przez wojnę. Świeża sława Norwegji, jako laureatka Nobla, Sigrid Undset, identyfikuje ją z pojęciem naszej europejskości i twierdzi: „Solange wir nicht in der Historie der Griechen und Römer die älteste Geschichte unserer eigenen Kultur erkennen, haben wir auch keine europäische Kultur". W poetycki obraz ujął tę myśl zmarły niedawno pisarz o wybitnym nowoczesnym profilu, Hugo von Hofmannsthal. „Es ist ein herrliches Ganzes, tragender Strom zugleich und jungfraulicher Quell, der immer rein hervorbricht".

Emanacyjną siłę spadku duchowego po narodach klasycznych uchwycić w całokształt usiłował już Max Schneidewin w dziele „Die antike Humanität" 1897. Wilhelm Nestle w dziejowem wspomnieniu zamknięcia Akademji Platońskiej przez Justynjana („Ein Gedenkjahr der europäischen Geistesgeschichte" 529—1929, w NJb für Wissenschaft u Jugendbildung 5 (1929) 4 p. 385—395) mógł słusznie skonstatować, że filozofja grecka, którą już skepsis i mistyka toczyły, ze zwycięskiem chrześcijaństwem nowe rozpoczęła życie i nowe triumfy w pochodzie myśli ludzkiej po dziś dzień. W dziele Tukidydesa odnajduje Felix Wassermann („Vergangenheit und Gegenwart" 1930—1) tyle jeszcze dzisiaj żywotnych poglądów, że większa znajomość historyka greckiego przydałaby się politykom dzisiejszym. Może i ta wiadomość dzisiejszemu człowiekowi nie byłaby zbędna, że Kolumb, uzbrojony w wiedzę starożytną puścił się na odkrycie Indyj i choć odkrył inny świat, nazwa Indjan dla tubylców zachowała się dotąd. Poza badaniami fachowemi zlewa ten spadek duchowy po narodach klasycznych natchnienie twórcze na literaturę nowszą i najnowszą, a głębią swą pociąga najwybitniejsze umysły. Po złożeniu urzędu sekretarza stanu zwrócił Rampolla, ów „cardinalione" (wielki kardynał), jak go i wtedy jeszcze nazywał Pius X, swój interes hagjograficzny na pogranicze starego Rzymu i młodego chrześcijaństwa, starcia dwóch potęg, które już tyle talentów swym urokiem nęciło, jak i włoskiego muzyka Gaetaniego znęcił zatarg aleksandryjskiej filozofki Hypatji z gminą chrześcijańską tego miasta. Zamykając swą bujną karjerę polityczną, Clemenceau literacko zajął się Demostenesem, którego postać w tak ostrych konturach odcina się na nieboskłonie starej Hellady. Wśród posągów muzeum „Braccio nuovo" może najbardziej wpada jego posąg indywidualnością wyrazu, której się nie zapomina, a przekazana wielkość jego charakteru i miłości ojczyzny niezamąconym świeci blaskiem, choć różne Aischinesy i w nowszych czasach starają się go przyćmić. Dla oka Clemenceau czysto się zarysowuje, bo z czystą intencją przystępuje on do obserwacji wielkiego Hellena, którego proroczy głos, jak naszego Skargi, był głosem wołającego i nie odwrócił Cheronei. Zapatrzenie się Clemenceau'a w świat grecki, przebija wśród oceny dyplomatów kongresu wersalskiego w charakterystyce Venizelosa, jako syna Ulissesa i Kalipso, uczciwie przesiąkniętego chytrością helleńską".

Tak to pod niebem Grecji skrystalizowane pojęcie przywykliśmy za rzymskiem „cultura animi" nazywać kulturą, choć twórca jego Platon nazywał je παιδεία. W rzeczywistości na wyżynę tej idei jako normy stosunku człowieka do człowieka ma nas wydźwignąć wykształcenie, co podkreśla z naciskiem i ostatnia encyklika papieska o wychowaniu. W tem posłannictwie nigdy nie słabnącem jak długo ludzie istnieć będą, zadanie starożytności wychodzi — żeby się posłużyć terminami w nauce niemieckiej ustalonemi — poza „Imitation", nawet poza „Kulturkunde", do „Trägerin der Bildungsidee", staje się „Normbegriff des Menschseins", wieczystą „Kulturnorm". Nie inny też dźwięk ma hasło: „Uomini siate", pod jakiem Giuseppe Stocchiero otwarł swoją „Conferenza alla gioventù per la formazione del carattere", albo taki sam napis francuski na wieży pobojowiska pod Arras. To nawoływanie dalekim zasięgiem potrąca o piękne zdanie Menandra: Ὡς χαρίεν ἐστὶ ἄνθρωπος, ἂν ἄνθρωπος ᾖ.

W epoce aleksandryjskiej wysokie to pojęcie rozdrobniło się i zeszło w niziny, odbite echem terencjuszowskiego: „Homo sum ci nihil humani a me alienum puto", co Unamuno z hiszpańską konkretyzacją zmienia w „nullum hominem a me alienum puto", konkretyzacją, znaną i z ascetyki hiszpańskiej, przenoszącej medytacyjne zatopienia w obrazy konkretne. Z odwetowego niejako upomnienia się o prawa człowieka, zgwałcone przez wojnę, wyrósł grób Nieznanego żołnierza, z baszty starego zamczyska w Roveretto rozkołysał się ulany z armat zwycięskich dzwon, który każdego dnia przez pięć minut dzwoni ku czci ofiar wojny wszystkich narodowości, a raz w roku nadto ku uczczeniu poległych jednego narodu. I Polska mieć ma taki dzień. I to się jej należy. Krwi polskiej przelało się dużo. Przytem w rodzinie narodów zachodnich nasze miejsce, odkąd Mieszko I związał nas z Rzymem. Tej przynależności i dobrodziejstw uczestniczenia w wielkiej kulturze Zachodu byliśmy świadomi jako odbiorcy i pomnożyciele i ku źródłom jej zwracaliśmy nasze oczy i nasze kroki. Na ścianach Uniwersytetu Padewskiego błyszczymy nazwiskami szukających tam nauki, nawet nazwiskami dwóch naszych królów, Batorego i Korybuta. Wychowanek tego uniwersytetu Stanisław Niegoszewski, słynny z daru improwizacji, którym popisywał się na turnieju poetyckim w SS. Giovanni e Paolo w Wenecji i zdobył wieniec poetae laureati, wydał u sławnego Alda Manutiusa, z którym się zaprzyjaźnił, ku czci Jana Zamoyskiego poemat heroiczny i 6 dytyrambów w 6 językach: łacińskim, greckim, włoskim, hiszpańskim, polskim i hebrajskim. Oratorjanin Juwenal Ancira, by pozyskać Batorego dla Kolegjum Polskiego w Rzymie, za radą św. Filipa Neri posłał mu podobiznę kolumny Trajana. I Batory bardzo cenił sobie ten dar.

Szukaliśmy humanizmu Zachodu i byliśmy tam znani jako humaniści. Podziwiano naszą łacinę i my widzieliśmy w niej ten znak niezatarty, który nas pieczętował wobec obcych, dawał dy-

stynkcję społeczną, był rodzajem „tessera hospitalis“, otwierającej nam podwoje Zachodu. Jubileusz 350-lecia Wszechnicy wileńskiej, który w uroczystościach obchodu zbliżył nam postać Batorego, przypomniał może niejednemu tę scenę, w której król przy zwiedzaniu szkoły zwrócił się do ucznia z zachętą: „Disce, puer, latine, faciam te mościpanem“, — „ucz się łaciny, a pójdziesz w górę“. Zdawałoby się, że głos w audycji naszej przeszłości powinien być słyszany po czasy dzisiejsze: — odwrócił go niestety i ściszył fading reform szkolnych, które nastawiły się na chwytliwsze, choć bardziej nam obce, nadania. W dziwnej ambicji prześcignięcia wszystkich nowoczesnością wyzbywamy się najistotniejszej cechy naszych tradycyj historycznych, zrywamy z „złotym kwiatem“, jakby go nazwał Gobineau. Cuda techniki nie odwodzą od starożytności, która parała się zagadnieniami technicznemi, pozostawiając wszystkim czasom w testamencie legaty pokaźne i impulsy niewygasające, dobyta świeżo ze spuszczonego jeziora Nemi galera wprawia w zdumienie techników dzisiejszych. Ale głośne dziś puzony dmą w zapowiedź przetopienia naszych tradycyj religijnych i narodowych w ogniu dnia dzisiejszego. Od przetopienia do stopienia byłoby niedaleko. Na szczęście ogromnej większości społeczeństwa nie spieszno wyrzec się ideałów, które nam przekazali przodkowie, a które są krasą i chlubą naszych dziejów, a tak samo jasną gwiazdą na drodze, po której zdążać chcemy w przyszłości.

(Dok. nast.) *Dr. W. Śmiałek.*

Dookoła soboru prawosławnego.

I.

Kwestja wytworzonych po wojnie stosunków w Cerkwi prawosławnej na ziemiach polskich miała i ma dla nas wielkie znaczenie choćby tylko z tego względu, że w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej żyje około trzy i pół miliona obywateli, wyznawców prawosławia [1]).

Rozchwiana organizacja tej Cerkwi, wewnętrzne tarcia, odśrodkowe dążenia ukraińskiej i białoruskiej ludności zmierzające do zastąpienia starocerkiewnego języka żywym językiem ukraińskim i białoruskim, ścierające się wpływy rozsianych po Europie emigracyjnych centr rosyjskich (głównie Paryż i Białogród), czyniących wysiłki, aby prawosławną Cerkiew w Polsce uzależnić od siebie, wreszcie fakt uświęcony tradycją, że od czasu Piotra Wielkiego Cerkiew prawosławna w Rosji i jej duchowieństwo były powolnem i ślepem narzędziem carskiej polityki — wszystko to w rezultacie spowodowało rozprzężenie, wniosło chaotyczne zamieszanie w stosunkach cerkiewnych szczególnie w pierwszych latach istnienia odrodzonej Rzeczypospolitej i spowodowało upadek, z którego Cerkiew prawosławna nie bez pomocy rządu, powoli ale widocznie się dźwiga.

[1]) Według danych urzędowych ludność prawosławna w Polsce posiada 5 diececzyj, 1.300 placówek duszpasterskich, 2.100 świątyń, 1.800 duchownych, 17 klasztorów. Na jedną placówkę duszpasterską wypada 2.600 wiernych, na jednego duchownego 1.900, na jedną świątynię 1.600.

Kamieniem węgielnym odrodzenia prawosławnej Cerkwi w Polsce była sprawa przeprowadzenia autokefalji, ustalającej jej kanoniczną zależność od Konstantynopola, przez co sparaliżowano i odparto pretensje i zakusy tak Moskwy jak Paryża i Białogrodu usiłujących jej narzucić swój patronat.

Tem jednak sprawy jeszcze definitywnie nie rozwiązano.

Dalszym etapem jest wydanie przez Prezydenta orędzia o zwołanie generalnego soboru prawosławnego w Polsce. Akt ten nazwał metropolita Dionizy „światową kartą w życiu Cerkwi prawosławnej w Polsce“. I słusznie. Zmierza on bowiem do bezpośredniego i ostatecznego uregulowania organizacji autokefalnej Cerkwi prawosławnej w Polsce.

A znaczenie jego pod względem religijno-moralnej natury jest tem większe, że podczas gdy w samej rdzennej Rosji Cerkiew prawosławna rozpada się w gruzy, kiedy tam wre nieubłagana walka z Cerkwią (zainscenizowana i podsycana przez urzędowe czynniki komunistyczne), a więc w czasie szalonej propagandy ateistycznej, walki „bezbożników“ z wszelką religją, a przedewszystkiem z prawosławną, w okresie burzenia i przemiany świątyń na muzea, kina, kluby robotnicze i garaże — w tym czasie w Polsce przez wydanie orędzia Prezydenta następuje manifestacyjna afirmacja czynnika religijnego w życiu ludności prawosławnej.

Zaznaczyć należy, że myśl soboru kiełkowała już dawniej, a zwłoka w jej urzeczywistnieniu była spowodowana oporem metropolity Dionizego przeciwko przyznaniu ludności świeckiej odpowiedniej reprezentacji. Dłuższe pertraktacje prowadzone przez rząd dały wreszcie ten wynik, że osiągnięto porozumienie i utworzono przedsoborową komisję złożoną z 15 świeckich i 10 duchownych, która przy czynnym udziale przedstawicieli rządu wygotowała program soboru. Orędzie Prezydenta określa wyraźnie przewodnią myśl: aby Cerkiew prawosławna w Polsce mogła w pełnej swobodzie i bez żadnego nacisku stworzyć swoje kształty organizacyjne.

Polska otacza swą opieką Cerkiew prawosławną i umożliwia jej stopniowe zbliżenie do Zachodu, co odpowiada naszym najpiękniejszym tradycjom narodowym i naszej dziejowej misji na Wschodzie.

Sobór ten będzie tradycyjnem nawiązaniem do ostatniego soboru Cerkwi prawosławnej w Polsce, który się odbył w Pińsku dnia 15 czerwca 1791 r. Wtedy to na skutek uchwały Sejmu czteroletniego zwołano do Pińska Generalną Kongregację dla ułożenia projektu ustawy polskiej Cerkwi prawosławnej, gdzie oparto się na następujących zasadach: Naczelny zarząd cerkiewny pozostaje w duchownej zależności od patrjarchy konstantynopolitańskiego, a składa się z jednego arcybiskupa-metropolity, z synodu i trzech biskupów stojących na czele swoich diecezjalnych konsystorzy. Biskupi wraz z metropolitą tworzą synod, zarządzają sprawami cerkiewnemi, w żadnych sprawach nie zwracają się do obcych metropolitów, tylko w sprawach dotyczących dogmatów wiary odnoszą się bezpośrednio do patrjarchy w Konstantynopolu.

Ten projekt Kongregacji Pińskiej poddano w Sejmie dnia 21 maja 1792 pod głosowanie, gdzie uzyskał znaczną większość głosów, a w ustawach prawnych otrzymał tytuł „Urządzenie stałej hierarchji obrządku grecko-orjentalnego dyzunickiego w państwach Rzeczypospolitej".

Mający się odbyć w najbliższej przyszłości sobór da możność Cerkwi prawosławnej w Polsce uzyskać hierarchicznie niezależność, własne oblicze, a dla Państwa będzie on również ważnym faktem pokrywającym się z historyczno-politycznemi interesami Rzeczypospolitej.

(C. d. n.) *St. Cz.*

„Unjatyzm" X. C. Korolewskiego.

W referacie sprawozdawczym o ruchu unijnym na Zachodzie (Główne ogniska ruchu unijnego na Zachodzie), ogłoszonym w Ateneum Kapł. (z kwietnia 1930 r.), zwróciłem uwagę na ruch unijny w Rzymie, w Belgji i w Niemczech i na znaczenie tego ruchu także dla nas. Jako naród katolicki, a w sprawie unji bezpośrednio zainteresowany, mamy obowiązek więcej niż inni zajmować się problemem unji i ruchem unijnym, i to przedewszystkiem ze stanowiska ogólno-kościelnego, nie spuszczając zresztą z oka momentu państwowego i narodowego. W artykule tym wspomniałem też o X. Korolewskim, jednym z najwybitniejszych przedstawicieli ruchu unijnego. Podałem parę słów o jego ciekawem curriculum vitae i o jego działalności. Wspomniałem tam również o broszurze jego „Unjatyzm", przeciw której reagowali bazyljanie nasi X. Haluszczyński i X. Skruteń. Broszura ta wywołała dużą dyskusję. Nie myślimy wdawać się z okazji tej broszury w polemikę z autorem. Uważam ją jednak za zjawisko charakterystyczne i dlatego pragnę dokładniej o niej poinformować czcigodnych Konfratrów sine ira et studio.

Broszura „L'Uniatisme" wyszła w wydawnictwie Irenikon w opactwie benedyktyńskiem ob. gr. w r. 1927 w Amey w Belgji. Liczy str. 64, drukiem dość ściśniętym.

Sam termin „unjatyzm" ma tu znaczenie ujemne. Autor rozumie przez ten termin poddawanie się obrządku wschodniego wpływom Kościoła łacińskiego, odstępowanie od czystych form Kościoła wschodniego od liturgji, w nabożeństwach dodatkowych, w prawie kościelnem, w ascetyce, w stroju, w życiu. Kościoły wschodnie schizmatyckie — samej tej nazwy „schizmatyckie" autor, aby nie obrażać kościołów wschodnich, nie używa — przyjmując z Kościołem rzymskim unję, szły bardzo często na kompromis, poddawały się więcej lub mniej wpływom tego Kościoła, zatracały niejednokrotnie czucie z czystym swoim wschodnim obrządkiem. Taki kompromis, taki różnorodny związek dwu obrządków autor stanowczo potępia i w interesie powodzenia pracy unijnej pragnąłby go z kościołów unijnych zupełnie, choć może nie nagle, wyrzucić.

Autor jest stanowczym zwolennikiem obrządku wschodniego czystego bez jakichkolwiek naleciałości zwyczajów i form Kościoła łacińskiego. Autor ilustruje tę sprawę na dzisiejszem życiu w tych kościołach zjednoczonych, przyczem bardzo często zatrzymuje się także przy naszych unitach w Małopolsce wschodniej, na Rusi zakarpackiej i w Rumunji, wspomina o naszych w Polsce bazyljanach unickich.

Przedewszystkiem podnieść należy rozległe wiadomości autora z historji kościołów zjednoczonych. Autor musiał osobiście zetknąć się z terenami unijnemi bezpośrednio i musiał badać ich dzieje, jeśli mógł nagromadzić tyle faktów, spostrzeżeń i uwag, nie wziętych z pewnością z powietrza, ale z życia i ze źródeł. Autor zna kościoły unickie na bliskim i dalszym Wschodzie, na Malabarze, w Egipcie, w Syrji, na Węgrzech, na Bałkanach, na Sycylji, w Polsce, w Rumunji. Zna księgi liturgiczne w rozmaitych językach rozmaitych kościołów, zna ich zwyczaje i życie, ich tradycje i praktyki. Musiał te rzeczy widzieć, ale i studjować. Musiał zajmować się bliżej liturgją i dziejami tych kościołów. Mówi zresztą sam wyraźnie, że miał wolny dostęp do archiwów Kongregacji Propagandy i że tam wszystkie akty przeglądał. Wierzymy temu i możemy podziwiać u autora znajomość kościołów wschodnich i ich osobliwości. Zajęcia w Bibljotece Watykańskiej ułatwiły mu oczywiście studjowanie rozmaitych liturgij, obrzędów i dziejów tych kościołów.

Należy autorowi przyznać nadto wiele uwag słusznych i wiele dobrej woli. Niezawodnie słuszną jest uwaga, że przy powrocie do jedności kościołów wschodnich nie należy dążyć do zbytniej centralizacji, niemożliwej i przeciwnej tradycji (str. 49), że musi odbywać się zdrowy rozwój w liturgji i w ascetyce, że „słowo" niczem jest, gdyż wszystko zależy od myśli, jaką z danem słowem łączymy. Dowiadujemy się od autora, że w kościołach wschodnich niema różnicy między abstynencją a postem właściwym, że nie istnieje obowiązek codziennego odmawiania brewjarza, dowiadujemy się bardzo wielu zajmujących szczegółów w każdej poruszonej kwestji.

W sprawie „unjatyzmu" autor szukał źródeł i przy tem szukaniu przechodzi krótko całą niemal historję kościołów zjednoczonych i historję ustosunkowania Kościoła rzymsko-łacińskiego do kościołów wschodnich. Kościół rzymski niedowierzał często jednoczącym się z nim kościołom wschodnim. Ci, co mieli decydować o prawach i właściwościach tych kościołów, nie znali ich dokładniej. Aby się lepiej zabezpieczyć przed schizmą, starano się te kościoły wschodnie, o ile się jednoczyły, jak najbardziej zbliżyć do rzymskiego. Stosunek ogólny Kościoła rzymskiego do kościołów wschodnich autor streszcza krótko w tych słowach: Od powstania schizmy aż do utworzenia Kongregacji Propagandy (1622) obrządek wschodni był raczej zwalczany, później jednak przyznano mu istnienie. Za Benedykta XIV ułożono stosunek ten w ten sposób, że obrządek rzymski został uznany za wyższy, a obrządek wschodni miał mu być podporządkowany. Pius IX w r. 1867 przed soborem watykańskim ogłosił w zasadzie równorzędność obydwu obrządków. Następcy jego starali się i starają się dzisiaj tę zasadę wprowadzić w życie (str. 26)

Autor podkreśla także inne źródła unjatyzmu, jak brak wyższego wykształcenia u kleru wschodniego w chwili zawierania unji, brak niekiedy własnej kultury, niska pozycja społeczna i gospodarcza ludności z obrządkiem wschodnim. Naśladowano księży łacińskich, węgierskich czy polskich, aby się z nimi zrównać i tak powstawał unjatyzm.

Krytykuje autor między innemi strój łaciński i odznaki, przyjęte przez księży i zakonników obrz. wschodniego. Chciałby widzieć także bazyljanów i księży unickich w Polsce we wschodnich rjasach z szerokiemi rękawami, z brodami, z długiemi włosami, z wysokiemi czapkami. Chciałby usunąć z cerkwi unickich różaniec, nabożeństwa majowe, msze ciche przy bocznych ołtarzach, nabożeństwo do specjalnych patronów pochodzenia łacińskiego, cerkwie w stylu barokowym i wiele innych rzeczy. To wszystko chciałby autor zastąpić rzeczami z czystego obrządku wschodniego i daje w tym kierunku

konkretne propozycje. Radby autor i teologję całą i ascetykę i liturgję oprzeć wyłącznie na wschodnich wzorach i tradycjach, zachować wszędzie i w całości czysty obrządek wschodni Unjatyzm, idący na kompromis z obrządkiem łacińskim, jest zdaniem autora głównym powodem dalszego trwania schizmy. „Zwalczać" — mówi autor — „unjatyzm, ten płód ani wschodni ani zachodni, ale coś nieprawego między jednym a drugim, w teologji, w prawodawstwie, w liturgji, w ascetyce, znaczy to przyśpieszać chwilę schizmy" (str. 27).

Dostało się przy tej sposobności wiele bazyljanom naszym za popieranie rzekome unjatyzmu w cerkwi unickiej w Polsce i naszemu duchowieństwu unickiemu za noszenie szat krótkich, ale to dotyczyć może i nas polskich księży. Zgadzam się, że zwyczaj ten przyszedł do nas od Niemców i to pierwotnie Niemców protestanckich.

(C. d n.) *X. dr. Szydelski.*

Sprawy religijne.

Celibat duchowieństwa unickiego. Św. Kongregacja Kościoła Wschodniego ogłosiła warunki, obowiązujące duchownych obrządku wschodniego przy przyjmowaniu obowiązków duszpasterskich w Ameryce całej i w Australji.

Jednym z tych warunków jest zachowanie celibatu.

W wyjątkowych wypadkach obowiązki duszpasterskie w tych krajach mogą być powierzone duchownym — wdowcom.

Konsolidacja Polonji w Stanach Zjednoczonych. Z dniem 1 czerwca b. r. rozpoczęła działalność wśród wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych bardzo pożyteczna placówka „Centrala Katolicka", powołana do życia przez zjazd przedstawicieli szeregu polskich organizacyj katolickich. Celem „Centrali jest zjednoczyć wszystkich zamieszkałych na terenie Stanów Zjednoczonych Polaków-katolików dla wspólnych celów katolicko-narodowych oraz pozyskać ich do czynnej pracy w ramach organizacyj, wchodzących w skład „Centrali". Powstanie „Centrali Katolickiej" jest niewątpliwie dodatnim objawem, świadczącym o konsolidowaniu się naszego wychodźtwa w Stanach Zjednoczonych.

Harcerze katoliccy w Dublinie. Korespondent gazety „The Universe" z Dublina pisze, co następuje: W niedzielę wielkanocną odbyło się tu imponujące zebranie harcerzy katolickich. Harcerze ze wszystkich części miasta zgromadzili się na Pearee Square, ponieważ miał być poświęcony nowy sztandar, ofiarowany oddziałowi św. Andrzeja (St. Andres Troop). X. T. F. Ryan, administrator kościoła św. Andrzeja, dokonał poświęcenia i wygłosił podniosłą przemowę. Harcerz — mówił on — byłby bezużytecznym, gdyby nie był dobrym chrześcijaninem i dobrym obywatelem. Mr. O'Neill, naczelnik harcerzy, podziękował ofiarującym za sztandar. Ten wspaniały dar pochodzi od grona ludzi, którzy interesują się rozwojem harcerstwa — od robotników bulwarowych w Dublinie. X. Farell, sekretarz generalny, złożył chłopcom gratulacje za ich świetny popis i podziękował księdzu Ryanowi i jego współpracownikom za udzieloną zachętę. Podziękował także prasie za jej poparcie. Wielka ilość księży z miasta była obecna przy tej ceremonji.

Dalej porusza korespondent sprawę religijnego wychowania dzieci. Wielkie zaniepokojenie wśród katolików wywołał bill rządowy o kształceniu młodzieży. Rząd chce wprowadzić tylko lekturę biblji według metody protestanckiej, niezgodnej z zasadami katolickiemi. Według premjerą Lorda Craigavon, nie stanie się katolikom przez to żadna krzywda. Możnaby sądzić, że tak zdolny mąż stanu, jak Lord Craigavon, powinien wiedzieć, że dla katolików biblja nie jest regułą wiary, ale jest nią nauka Kościoła. Premjer gotów jest kosztem państwa popierać protestancką regułę wiary, a chce odmówić pomocy tym, katolikom, jeżeli nie wyrzekną się swej własnej reguły wiary i nie przyjmą reguły protestantów.

Naturalnie przekręca się, jak zwykle, zasadę katolicką. Protestanckie pojęcie, że katolicy są nieprzyjaciółmi biblji, jest szeroko rozpowszechnione w Irlandji. Lecz ministrowie są zbyt kulturalni, żeby podzielać to fałszywe mniemanie W każdym kraju są między katolikami tacy, którzy bronią biblję przeciw napadom jej wrogów. Zadziwiło to jednak protestantów w całej Irlandji, gdy usłyszeli, że biskupi katoliccy zachęcają swych wiernych do czytania Nowego Testamentu. Obecnie zaś, kiedy opozycja katolicka wypowiada się przeciw lekturze biblji, która ma zastępować właściwą naukę religji, upatrują w tem potwierdzenie swego dawnego fałszywego mniemania.

Występują też oni z zarzutem, że katolicy sprzeciwiają się kontroli nad gospodarką groszem publicznym. Mr. Derlin wykazał, że co się tyczy pieniędzy wydawanych na budynki szkolne, opał, światło i t. p., katolicy stosują się do rozporządzeń departamentu oświaty i poddają się jego kontroli. Ale ma się rozumieć, że nie dopuszczą żadnej kontroli władz świeckich nad nauczaniem religji.

Z piśmiennictwa.

Ks. prof. St. Szydelski: „Idea odrodzenia w misterjach hellenistycznych i u św. Pawła". Poznań 1930 (Księgarnia św. Wojciecha. Zeszyt XIV—XV „Spraw Biblijnych". Stron 91).

Rozprawa ta — niewielkiej objętości — jest widocznie owocem rozległych studjów w zakresie biblijnym i literatury, dotyczącej misterjów hellenistycznych. Autor dowodzi bardzo gruntownie, że nauka św. Pawła o odrodzeniu przez wiarę Chrystusową, o znaczeniu i skutkach Chrztu i t. d. nie jest wcale zależna od mistyki hellenistycznej, że on mistykę swoją „zbudował z materjałów, jakich mu dostarczyły: Stary Zakon, wiara pierwotna pierwszych chrześcijan w gminie jerozolimskiej i własne jego przeżycia" (str. 77). Wywody autora są ciekawe i pouczające, a poparte licznemi cytatami z Pisma św., z mistyki hellenistycznej i z dzieł poświęconych temu przedmiotowi. Dodany na końcu alfabetyczny spis rzeczy i osób ułatwia orjentowanie się w bogatej osnowie cennej rozprawy.

X. A. P.

Isabel C. Clarke: „It happened in Rome". A. novel (New York, Benziger brothers, stron 400).

Powieści tej autorki, przejęte duchem katolickim i odznaczające się niepośledniemi zaletami, zyskały już sobie wielkie wzięcie w Ameryce Północnej i przyczyniły się do nawrócenia niejednej duszy, wzrosłej w błędach protestanckich. Tego można się spodziewać i o tej „noweli" niezwykłych, jak na nowelę rozmiarów, której akcja odbywała się w Rzymie w roku jubileuszowym 1925. Przyjeżdża tam młody, światły Anglik z Londynu, który dotąd nie znał wcale Kościoła i jego nauki, a nawraca się pod wpływem tego wszystkiego, co tam widzi i słyszy. Trzeba jednak zarzucić autorce nużącą w wielu ustępach rozwlekłość w opisach krajobrazów, ubiorów, sprzętów domowych, w dialogach, w których

powtarzają się często te same rzeczy i t. d. Znaczne skrócenie powieści wyszłoby jej na korzyść. *X. A. P.*

G. A. Borgese: Rubè. Powieść. Przekład Stelli Olgierd. (Stron 656 Polski Instytut Wyd. Gdańsk. „Sfinks" Warszawa. Bez daty, ale książka wyszła w roku 1929.)

W przedmowie zapewnia nas p. Franciszek Baturewicz o tym pisarzu, że on „cieszy się sławą jednej z najwybitniejszych postaci na polu twórczości pisarskiej nietylko we własnym kraju, lecz i zagranicą" i t. d. Słowa te uprzedziły nas korzystnie dla autora, dotychczas nam nieznanego. Niestety jednak doznaliśmy niemiłego zawodu. Jest to powieść rozwlekła, nudna, pełna drobiazgowych szczegółów, a nadto w pewnych ustępach obrażająca moralność. Bohater jej Rubè jest człowiekiem nienormalnym, fantastą, który sam nie wie, czego chce, marnuje swoje życie i ginie w tłumie komunistów, chociaż odrzuca stanowczo ich hasła i dążności.

I przekład polski nie wszędzie jest poprawny. Tak np. na str. 558 czytamy: „W Hezjodjuszu znalazłem te słowa" i t. d (zam. „u Hezjoda"). Na str. 136: „Niebo, wypajetowane południowem słońcem" — co to znaczy? Na str. 134: „Podobnie postąpiły narody, czytać uważając za świętość sprawę terytorjów" — jest to widocznie błąd drukarski, nigdzie nie sprostowany. *X. A. P.*

William Locke: „Moordius i Ska". Przełożyła z angielskiego Wanda Peszkowa Warszawa 1930. (Stron 365. Tow. Wydawnicze „Rój")

Powieść tę poprzedza artykuł p. Adolfa Nowaczyńskiego, zachęcający gorąco do tłumaczenia i czytania belestryki angielskiej i chwalący Williama Locke'a, ale bez „kwiecia papierowych superlatywów". Autor ten opowiada żywo i zajmująco, kreśli postaci oryginalne, zmyśla awantury i sytuacje nieprawdopodobne. Nie jest on, jak się zdaje, chrześcijaninem wierzącym, ale nie obraża religji i moralności. Zbyt wiele pisze o strojach, o napojach, biesiadach i innych szczegółach życia codziennego

W przekładzie polskim zdałyby się pewne poprawki; nie wiemy np., dlaczego tłumaczka nie nazywa nigdy głównej osoby powieści „Zuzanną", tylko zawsze z francuska „Suzanne" we wszystkich przypadkach? Zresztą przekład jej jest staranny i czyta się gładko. *X. A. P.*

X. Ignacy Czechowski, dyrektor misyj: **Krótkie kazania na niedziele i święta całego roku.** Poznań 1930 (str 608. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha).

Są to nauki niedługie (razem 65), ale pełne dobrej treści, praktyczne, łatwo zrozumiałe dla ogółu wiernych. Dużo w nich cytatów z Pisma św. Czcigodny autor nie podoba sobie w górnej frazeologji kwiecistej, lecz wyraża się poprostu, przemawia do duszy słuchacza, zachęca go wymownie do modlitwy, do miłości Boga i bliźnich. Piękne są np. kazania na pierwszą i drugą niedzielę Adwentu o cierpieniu (str. 267 nn.) i na uroczystość Chrystusa Króla (str 572 nn.). Jak czytamy w przedmowie, tom ten „uważać należy jako wstęp do dalszych nauk; da Pan Bóg doczekać, ukaże się niebawem tom „nauk przygodnych", tak bardzo u nas potrzebnych; po nim nastąpią formalne „nauki misyjne".

Przyznając jednak z przyjemnością wielkie zalety tym kazaniom, musimy dodać, że nasunęły się nam przy ich lekturze pewne wątpliwości. I tak sądzimy, że lepiej już dziś nie powtarzać „tradycyjnego obliczenia czterech tysięcy lat", które miały upłynąć od stworzenia Adama do Narodzenia Pana Jezusa (str. 9 n.). Dziś już najpoważniejsi badacze katoliccy wyrażają przekonanie, że o czasie stworzenia pierwszego człowieka nie można nic pewnego powiedzieć, że jednak rozwój kultury chaldejskiej i egipskiej musiał trwać dłużej niż 6000 lat (według Schanza „Apologie des Christentums, wyd. trzecie z r. 1903, tom I, str 757: 8—10 tysięcy). Gdzie indziej są pewne szczegóły n. zd. zbyteczne z his orji Kościoła, jak np na str. 243, że naukę Kościoła o Piśmie św. znajdujemy już w aktach synodu rzymskiego (382), kartagińskiego (397), soboru florenckiego, w dekretach Inocentego I i Gelazego I. Są to wiadomości niepotrzebne i nie zajmujące dla słuchaczy, którzy nie mieli czasu ani sposobności do zapoznania się dokładniejszego z dziejami Kościoła. Zato lepiej wykazać na kilku przykładach, jak niedorzeczne są wyniki, do których dochodzą heretycy (protestanci, badacze Pisma św., hodurowcy i inni) w swojej interpretacji ksiąg świętych.

Pomimo jednak tych wątpliwości, nie wahamy się nazwać tych kazań cennym nabytkiem dla naszej literatury homiletycznej *X. A. P.*

WIADOMOŚCI DIECEZJALNE.

Diec. włocławska. Przeniesieni XX.: Stan. Nowicki, wikarjusz w Zagórowie, do Błaszek. Stefan Kopania, wikarjusz w Lubieniu i Wojciech Krupop, wikarjusz w Dąbiu n/Nerem — jeden na miejsce drugiego.

KOMUNIKATY.

Dom Księży w Worochcie.

(Wysokość n. p. morza 750 m.)

Worochta położona w wysokich Karpatach. W miejscu stacja kolejowa, poczta, telegraf, telefon, kilku lekarzy i apteka. Tegoroczny sezon rozpoczyna się 1 lipca i trwa do 31 sierpnia. Gospodarstwo prowadzą SS. Marjanki. Zgłoszenia do 26 czerwca należy nadsyłać pod adresem: Towarzystwo Kapłanów, Lwów, ul. Murarska 49. Później: Zarząd Domu Księży, Worochta nad Prutem.

Księża kuracjusze w Marjenbadzie

znajdują się często w trudnem położeniu wyszukania lekarza Polaka-katolika, do którego z całem zaufaniem mogliby się zwrócić o poradę. Przed wojną światową ordynowali w Marjenbadzie lekarze Polacy, katolicy. Stosunki wojenne i powojenne zmieniły sytuację na gorsze. Dopiero w ostatnich latach na sezon zjeżdża paru lekarzy, do których z całem zaufaniem mogą się zwrócić księża z kraju, odbywający kurację. Szczególniej cieszy się zaufaniem Dr. Konstanty Glazór, który zdobył sobie duży mir wśród Polonji marjenbadzkiej, a kuracjusze zeszłoroczni, jak X. infułat Kulinowski, X. dziekan Kaczmarczyk, oraz świeccy wyrażali w pismach codziennych gorące podziękowanie za troskliwą opiekę doktorowi Glazórowi. Dr. Glazór ordynuje w Marjenbadzie od 1 czerwca w hotelu „Imperial".

Polecenie wydawnictw.

Zwraca się uwagę P. T. Księży na wydawnictwa Akcji Katolickiej diecezji łódzkiej, które są nieocenioną pomocą przy wprowadzeniu w czyn haseł Ojca św.

„Akcja Katolicka — Zasady pracy" w swych artykułach fachowych sił polskich omawia poszczególne dziedziny pracy duszpasterskiej, pod kątem wymagań doby obecnej w myśl wskazań Papieża Piusa XI.

„Katolicka Akcja prasowo-kolportazowa" — X. Cz. Stańczaka — w sposób praktyczny ujmuje trudny problem kolportażu dzieł, broszur, ulotek katolickich wśród najszerszych i najbiedniejszych warstw.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna". Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik

Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna" pod zarządem Jana Przyszlaka — Lwów, Ormiańska 13. Tel. 24-61.